

Brakujący Żydzi

Dr hab Tomasz Kamusella
University of St Andrews

Poland, if once there was such a country, at least the idea of it; a shady valley, a plane fertile with wide rivers that never dry up – Polin, the place of rest, where a tired wanderer could lie down on the fragrant grass, sleep peacefully, and be sure of a fortifying breakfast in the morning. If such a Poland was and it was Poland indeed, without this Poland no Poland can be. Until Jews return, Roma are embraced, Ukrainians, Germans, Belarusians, Russians, Armenians, Tatars, Karaites, Czechs, Latvians, Slovaks, Estonians, Latgallians, Samogitians make their home here again; Kashubs, Silesians, Goralians, Mazurs, Varmiaks, Boykos, Hutsuls, Lemkos, Rusyns are seen passing and welcomed to stay, alongside any desperate refugee in need of shelter; until then Poland is no Polin, just a shadow of its former self, even worse, the opposite of the true Poland, worth only forgetting; and what the exhausted traveler can do is only whisper pleadingly in a weak voice, 'Where are you, sweet Polin?' When one day She replies and freely gathers as sisters and brothers under her sheltering sky those in need and these who weren't given a second chance anywhere else, then Poland will be Polin anew. When will this time come? When? After all, man can't live in the memory of times long gone; it is an inhospitable desert of yellowed papers, dusty and wrinkled.

Ostatnimi czasy, w Polsce coraz bardziej oddalonej od wzorców, nakazów i standardów PRL, coraz (z pewną kwalifikacją, jednak) wolniejszej i demokratycznej Polsce, pojawiło się parę filmów i książek pokazujących, że brutalne wyrwanie z niej żydowskiej komponenty za II wojny światowej, Holocaustu i w PRLu otworzyło niegojącą się ranę po tej amputacji. A ponad tą raną promieniują bóle fantomowe. Wcześniej takie utwory przechodziły bez nadmiernego echa, i dziś – na przykład – prawie nikt już nie pamięta o wstrząsającym obrazie *Miejsce urodzenia* (1992), w którym po kilku dekadach pisarz Henryk Grynberg, ocalały z zagłady z matką, przyjeżdża do Polski, żeby dowiedzieć się jak zginęli jego brat i ojciec. Tak samo jest z książkami Grynberga, wydaje się je – bo tak wypada – lecz nie podejmuje się z nimi szerszej dyskusji. I nie inaczej z artykułem Jana Błońskiego „Biedni Polacy patrzą na getto”, opublikowanym w roku 1987 w *Tygodniku Powszechnym*. Chociaż rozpoczął oficjalny dialog

pojednania polsko-żydowskiego, to jednak bardziej był dyskutowany za granicą niż w samej Polsce. Mimo tego, że Wydawnictwo Literackie opublikowało ten esej w zbiorze tekstów Błońskiego pod tym samym tytułem w roku 1994 i powtórnie dwa lata później, to na kolejne wydanie trzeba było poczekać aż do roku 2008. Wśród czytelników nie było zainteresowania, popytu na tą pozycję.

Książki i filmy o tematyce żydowsko-polskiej pokazywały się na chwilę, aby spotkać z obojętnością, nikłym zainteresowaniem, lub wrogością, jeno po to aby zniknąć za widnokreśliem wydarzeń poruszających w Polsce opinię, serca i intelekt. Tak samo rzecz się miała z wywiadem Hanny Krall z ostatnim żyjącym (wtedy) przywódcą powstania w getcie warszawskim, Markiem Edelmanem, o tytule *Zdażyć przed Panem Bogiem*. Wydawnictwo Literackie opublikowało dwa wydania tomu w latach 1977 i 1979. Na kolejne trzeba było poczekać do następnego, XXI stulecia (roku 2001 i 2008). Na przełomie pierwszej i drugiej dekady obecnego wieku Edelman stał się – bez zabiegów o to z własnej strony – celebrytą na krótko przed śmiercią w roku 2009, a zwłaszcza po śmierci, jak to w Polsce często bywa. Po roku 2008 nastąpił wysyp wywiadów z Edelmanem i książek o nim: *Marek Edelman. Życie. Po prostu* (2008), *I była miłość w getcie* (2009, 2011), *Marek Edelman. Bóg śpi* (2010), *Pan doktor i Bóg. Marek Edelman: bohaterski, genialny, nieznośny* (2012), *Marek Edelman. Życie. Do końca* (2013).

Nie inaczej rzecz się miała z książką Jana Tomasz Grossa o spalaniu Żydów w Jedwabnem przez etnicznie polskich (to jest, katolickich – nie wielu pamięta, że łacińskie to słowo przekłada się „powszechny”, „uniwersalny”, „otwarty na wszystkich ludzi”) sąsiadów. Tom *Sąsiedzi. Historia zagłady żydowskiego miasteczka* wydany w roku 2000 spowodował powszechne oburzenie i obruszenie oraz ogólnonarodowe sprawdzanie. Śledztwo IPN z lat 2001-2004 nie wykazało, żeby relacja Grossa odbiegała od tychże faktów. Trzeba było uznać, że katolicy sąsiedzi – w atmosferze przyzwolenia i zachęty stworzonej pod okupacją

niemiecką – również mordowali współobywateli Polaków tylko dlatego, że byli wyznania mojżeszowego, nawet w przypadku, gdy było to już tylko wspomnienie o religii pokolenia dziadków. W roku 2001, na sześćdziesiątą rocznicę pogromu w Jedwabnem, Prezydent RP Aleksander Kwaśniewski odsłonił pomnik ku czci pomordowanych i przeprosił za zbrodnię w obecności ambasadora Izraela. Lawina publikacji kwestionujących i dyskutujących z ustaleniami Gross ustała w okolicach roku 2005.

Nowe gatunkowo, bo chyba niemogące już ustać zainteresowanie żydowskimi współobywatelami – lub dokładniej ich nieobecnością – prócz tomów orbitujących wokół osoby Marka Edelmana, rozpoczęła Joanna Wiszniewicz w ogromnym, ponad siedemsetstronicowym zbiorze *Życie przecięte. Opowieści pokolenia Marca*, który ukazał się dwukrotnie, w latach 2008 oraz 2009, i pozostaje w ciągłej sprzedaży. Wyrzuceni z Polski w czasie antysemitycznych wydarzeń z roku 1968 relacjonują jak ich życie wyglądało w PRLu, i potem na Zachodzie lub w Izraelu. Czytelnikami tej książki, tak jak i tych poświęconych Edelmanowi są w ogromnej mierze katolicy współobywatele, lubo ich nowe pokolenie, które weszło w dorosłość po przemianach roku 1989. Na szeroki świat otworzył ich nie tylko upadek komunizmu oraz własna młodość nawołująca do korzystania z tej jakże niespodziewanej i w XX stuleciu bezprecedensowej otwartości, lecz i poszerzenie Unii Europejskiej w roku 2004 o osiem krajów postkomunistycznych, w tym i Polskę.

I ta wolność studiowania, podróżowania i podejmowania pracy na terenie całej Unii bez granic – sprowadzonych na powrót do roli kresek w atlasach, wolność przeglądająca się w coraz częstszych dyskusjach z rozmówcami i przyjaciółmi z innych krajów pogłębiła i nadal pogłębia fantomowy ból nieobecności współobywateli Żydów, żydowskiego pochodzenia, o żydowskich korzeniach, chwalcących Boga w synagodze. Zapomniana, ukryta, wypchnięta – przez pogrom kielecki, narodowy komunizm i uogólniony antysemityzm bez obecności obiektu niechęci – w niebyt żydowskość odkrył Polakom, także tym z żydowskimi pociotkami

głośny film *Cud purymowy* (2000) w reżyserii Izabelli Cywińskiej. Po telefonie prawnika, z wiadomością, że mogą liczyć na znaczny spadek po krewnym Żydzie, lecz aby go otrzymać muszą powrócić na łono judaizmu, rodzina już „prawdziwych Polaków” z dnia na dzień staje się Żydami. Zaczynają pamiętać, przypominać sobie skąd i kim są, a co ważniejsze w filmowej sytuacji – przestrzegać zwyczaje żydowskie i obchodzić judaistyczne święta religijne. A jak nadzieja na spadek rozwiewa się tak samo niespodziewanie jak przyszła, to rodzina ta pozostaje przy na nowo odkrytej własnej tożsamości żydowskiej.

Ten film to wyraz nadziei na odrodzenie żydowskości w Polsce, na tym „największym cmentarzysku” Żydów, tu gdzie nazistowskie Niemcy dokonały Holocaustu na europejskich Żydach. Nadzieja na to, iż w etnicznojęzykowo ujednorodnionej, zhomogenizowanej po II wojnie światowej Polsce, że po masowych ucieczkach ocalonych z komunistycznej utopii, i wygnaniu prawie wszystkich pozostałych w roku 1968 są jeszcze gdzieś tam Żydzi. Tacy co z powodu nacisku polonizacyjnego zgodzili się dla świętego spokoju zapomnieć o sobie i rodzinie w Charkowie, Palo Alto, czy w Beer Szewie. Teraz już mogą być Polakami, a ich żydowskość nie będzie się z tym kłócić, bo postkomunistyczna konstytucja definiuje naród polski jako składający się ze wszystkich obywateli RP, bez względu na język, religię czy narodowość.

Polak to obywatel RP. Kropka. Lecz nie wszyscy zawierają konstytucjom, bo te się zmieniają. Chciałoby się, aby obowiązywały, lecz wielu woli ich nie przestrzegać, bo i tak kiedyś się zmienią. Kiedy pracowałem w Urzędzie Wojewódzkim w Opolu a następnie w Urzędzie Marszałkowskim, w latach 1996-2002 jako Pełnomocnik Wojewody do Spraw Integracji Europejskiej i Doradca Marszałka do Spraw Współpracy z Zagranicą, wielokrotnie miałem okazję spotykać się z posłami na Sejm z regionu oraz lokalnymi politykami samorządowymi. O ile swoboda rozmowy na to pozwalała indagałem ich o konstytucyjną definicję narodu polskiego.

Niestety, bez względu na orientację ideologiczną lub członkostwo partyjne, wszyscy zapytani uważali, że Polakami są ci, którzy mówią po polsku, mają rodziców Polaków i najlepiej są katolikami, lub żeby ich przodkowie chociaż nimi byli. Żadnemu z parlamentarzystów i samorządowców nie przyszło do głowy, że obywatelstwo RP może być równe polskości, z nią tożsame. Nie dowierzali, że konstytucja waży się mówić coś innego, coś niezgadającego się z ich – i przecież powszechnie panującymi – poglądami. Stanowili i stanowią prawo oraz instytucjonalne ramy państwa polskiego nie znając jego konstytucji. A, na przykład, nienotowany w katalogu Biblioteki Narodowej tytuł *Jak rozpoznać Żyda* (2002) autorstwa Leszka Bubla ciągle dostępny w tanich wydaniach i na internecie. Wiele się zmieniło po roku 1989, ale peerelowsko-moczarskie hasło narodowego komunizmu, „Polska dla Polaków”, wprowadzone wtedy w życie – zda się, że wciąż obowiązuje.

Jedyną modyfikacją jest to, że otwarty antysemityzm nie jest w modzie. Takiego się nie akceptuje, bo *savoir vivre* i *bon ton* bycia nowoczesnym Europejczykiem krzywi się na antysemickie hece. Lecz poprawność polityczna nie zabrania myśleć sobie co się chce i wypowiadać tego w gronie przyjaciół, a tym bardziej wspierać partii, których program jednoznacznie pro-narodowy, ujednorodniający. Rewersem tej ideologicznej monety, o którym się otwarcie nie mówi, a który wyraźnie przeziiera jest ksenofobia, strach przed obcymi, najczęściej przed Żydami, bowiem tak bliscy etnicznym Polakom jak mało kto, obecni przy i w Polsce od jej samych początków w wieku X, czego dowodem pierwsze polskie monety z napisami wybitymi w hebrajskich literach. A niekiedy nawet bardziej polscy od samych „prawdziwych Polaków”, bo czymże byłoby dzieciństwo bez „Kaczki dziwaczki” pióra Jana Brzechwy, „Lokomotywy” autorstwa Juliana Tuwima, czy pierwsze miłosne uniesienia bez lektury „W malinowym chruśniaku” Bolesława Leśmiana?

Europejska polityczna poprawność też nie jest tak sztywna, pozostawiła wentyl bezpieczeństwa dla swobodnego ujścia

ksenofobicznych fobii i resentymentów. Praktycznie bezkarnie można sobie używać na Romach wyzywając ich od „nierobów”, „pasożytów”, „czarnych”, „cyganów” i wzywając do „oczyszczania” miast i wiosek z „tej zarazy”. W roku 2010 demokratyczna Francja, w imię dobrze pojętych ideałów *liberté, égalité i fraternité*, pokazała jak należy zrównywać z ziemią obozowiska romskie a ich mieszkańców – mimo, że to przecież obywatele UE – tysiącami deportować poza francuskie granice.

* * *

W europejskiej, światowej Polsce odnoszącej gospodarcze i kulturowe sukcesy, w tym jednym z dwudziestu paru najbogatszych państw świata, w Polsce bez Żydów, bóle fantomowe – spowodowane nieobecnością żydowskich współobywateli-Polaków – trwają. Wzmagają się. Poloniści po szkołach już może się nie wzdygają wspominając, że Adam Mickiewicz miał matkę „rodu żydowskiego” i wedle ustaw norymberskich poeta byłby skazany na zagładę w Holocauście, a wcześniej na wydanie przez szmalcownika. Lecz tematu się nie draży, nie mówiąc już żydowskim pochodzeniu tak z definicji polsko-patriotycznego poety jak Krzysztof Kamil Baczyński, którego od czasów PRL stawia się młodym za przykład „jak pięknie ginąć za ojczyznę” (choć wydaje się, że lepiej żyć dla niej, a zwłaszcza dla najbliższych).

Od roku 1988 najważniejszą popularnym i znajdującym oddźwięk w całej Polsce jest coroczny Festiwal Kultury Żydowskiej odbywający się latem na Kazimierzu – w dawnej żydowskiej, w czasie wojny zaryzowanej, a po niej spolonizowanej – dzielnicy (to jest, getcie) Krakowa. Tak pięknie i przyjemnie przez tydzień posłuchać muzyki klezmerskiej, pozajadać się frykasami kuchni żydowskiej, ponawiać kontakty z artystami i intelektualistami żydowskimi ze Stanów, Izraela, Australii czy Francji. Może będzie okazja „zrobić wspólnie coś fajnego”, lub ich odwiedzić u tam u nich –za granicą. No bo tu jest Polska, i Żydów w niej nie ma. Szkoda, ale to historia – a nie my Polacy – tak

zarządziliśmy. A po cichu, na stronie dodaje się prawie niesłyszalnie: „i dobrze”.

Lecz bóle fantomowe trwają. Czy w ogóle Polska, prawdziwa Polska jest możliwa bez Żydów?

Ostatni film Janusza Machulskiego pod tytułem *Amba 44ada* (2013) kończy się wizją dostatniej, imperialnej Polski, która wygrała w trwających zaledwie tydzień utarczkach z armiami niemieckimi, a polskie wojska wraz z alianckimi wkroczyły do Berlina i zapobiegły wybuchowi II wojny światowej, a przez to i Holocaustowi. W ostatnim ujęciu w centrum Warszawy z żydowskimi sklepikami i restauracjami bohaterowie filmu wybierają się na specjał z kaczki po żydowsku zakrapiany koszernym winem.

Bardziej realna, nie uciekając pod konsekwencji i prawdy o współczesnym społeczeństwie polskim jest powieść Igora Ostachowicza o tytule *Noc żywych Żydów* (2012). W Warszawie pojawiają się przedwojenni Żydzi, bo pomordowani nie mogli lub nie chcieli odejść w zaświaty, i udało się im powrócić do świata żywych. Lecz w polskiej stolicy nikt ich nie chce, wzrasta obawa, że będą się domagać swoich mieszkań, majątków, własności, że będą chcieli znów żyć „pośród nas”. A w tle pobrzmiwa hasło „Polska dla Polaków”. I jakby ci z martwych powstał Żydzi czuli się w dzisiejszej Polsce gdzie tyle ulic i szkół nazwanych imieniem Romana Dmowskiego, lidera międzywojennej endecji; ojca chrzestnego gett ławkowych, *numerus clausus* i *nullus*; oraz ideologicznego patrona dzisiejszych ugrupowań narodowo-ksenofobicznych?

Głośny film *Pokłosie* (2012) w reżyserii Władysława Pasikowskiego ukazuje dwóch braci zmagających się z moralnym i praktycznym wymiarem odkrycia, że ich wioska to wioska żydowska. W czasie wojny ich rodzice i sąsiedzi, mieszkający na mokradłach, wymordowali Żydów i zagarnęli ich domy stojące na lepszej ziemi i ich urodzajniejsze pola. Odkrywszy tajemnicę

skrywaną przez dwa pokolenia, jako zadośćuczynienie z macew – odzyskanych z murów obór i utwardzonej nimi drogi – stawiają w polu symboliczny kirkut pomordowanym żydowskim mieszkańcom wioski. I tylko tyle? Albo – według niektórych – o wiele za głośno i za dużo?

Niezwykle trudno zaistnieć Żydom jako żywym, pełnokrwistym postaciom we współczesnej polskiej twórczości, gdzie najczęściej przypada im rola cieni, wspomnień, mar, zjaw, czy czystej fantazji. Reżyser Jan Kidawa-Błoński nie ucieka od rzeczywistości takiej jaką ona jest lub była, nie zmienia jej, a tym bardziej nie polonizuje. Tak jak jego Górny Śląsk w *Pamiętniku znalezionym w garbie* (1992) jest pełen Ślązaków, Niemców i Polaków, tak samo w jego *Różyczce* (2010) czy *W ukryciu* (2013) bohaterami są realni, żywi Żydzi obok Polaków. Ten drugi obraz opisuje historię ukrywanej Żydówki: jak wiemy z historii, obecność Żydów w Polsce zakończy Holocaust i wyjazdy ocalałych (a chciałoby się, że „ocalonych”) po wojnie. O tym – między innymi – mówi *Różyczka*, po roku 1968 okazało się, że nie było już w Polsce miejsca dla Żydów. Jako żywo przedwojenny *numerus nullus* na skalę całego kraju.

Niektórzy przetrwali we własnej ojczyźnie – tak, Polsce – nawet czasy narodowego komunizmu, lecz szerzej i otwarciej o swej żydowskości mogli zacząć szerzej wspominać dopiero niedawno, tak jak to było w przypadku Marka Edelmana, czy ma miejsce w kontekście rzecznika rządu okresu stanu wojennego stanu Jerzego Urbana. Wywiad rzeka o jego życiu zatytułowany po prostu *Jerzy Urban* (2013) okazał się niezwykle popularną pozycją na rynku wydawniczym. Za to szerszym echem po świecie poniosła się opowieść *Czarne sezony* (1999) znanego literaturoznawcy, Michała Głowińskiego, w której wspomina żydowskie dzieciństwo i Holocaust. Wkrótce posypały się tłumaczenia na szwedzki (2001), czeski (2002), włoski (2004) i angielski (2005).

Czy współczesna, dostatnia i europejska Polska, jak i jej mieszkańcy potrafią tylko o Żydach wspominać i żałować, że już ich pośród nich nie ma, bez ich (to jest, tych pierwszych, oczywiście?) winy jednak – no, bo to Niemcy? Czy nie mogliby się na nich (i w pewnym sensie na siebie samych, na swą własną żydowską polskość) otworzyć? Na żywych i żyjących Żydów?

Około ćwierć miliona do 300 tysięcy Żydów – obywateli międzywojennej Polski – przetrwało zagładę w kraju lub na terenie ZSRS, i znalazło się w granicach powojennej Polsce. Kraju zupełnie nowym, przesuniętym 300 kilometrów na zachód, w głąb byłej Trzeciej Rzeszy, w bezpośrednią bliskość Berlina, tam skąd swój początek wziął koniec – „ostateczne rozwiązanie”. W 1946 roku pogrom kielecki pokazał ocalałym, że nie mają czego szukać w swych dawnych miejscach zamieszkania, gdzie ich domy i majątki zaryzowano i rozdzielono pomiędzy miejscową ludność. Miast ryzykować zostanie zamordowanym przez nowych „właścicieli”, woleli wyjechać na Zachód, lub do Izraela. Lecz paradoksalnie, Polska okresu stalinizmu (1947-1956), czyli czasów internacjonalistycznego komunizmu, była Polską równych szans – w tych jakkolwiek trudnych czasach – dla współobywateli żydowskiego pochodzenia. Nikt nie powątpiewał w ich lojalności wobec państwa opartego na ideologii antyniemieckości i bratniego sojuszu ze Związkiem Sowieckim. W tym to kraju wielu z nich uniknęło zagłady w Holocauście. A Niemców Żydzi mieli powody o wiele bardziej nienawidzić niż Polacy, którzy też ginęli w czasie wojny, ale nie było akcji ich eksterminacji. Berlin skupił się na likwidacji polskich elit, co po wojnie ułatwiło zaprowadzenie komunistycznego porządku nowej Polsce.

Tak więc ci Żydzi co w powojennej Polsce zostali podjęli próbę zbudowania żydowsko-polsko-socjalistycznej utopii z językiem jidysz w tle na Dolnym Śląsku, na tak zwanych „Ziemiach Odzyskanych”, gdzie domy, gospodarstwa, mieszkania i zakłady po wygnanych niemieckich mieszkańcach stały gotowe do wzięcia – „poniemieckie”. Chociaż blisko, coraz bliżej „wojennej stolicy zła”, nie było strachu, że były właściciel powróci i będzie się

domagał zwrotu majątku. Tak zdecydowali przecież alianci w Poczdamie. Jednak różnorakie drogi do komunizmu przestały być szybko tolerowane. Komunistyczne życie Żydów w Polsce poczęto w latach 50. XX wieku centralizować, a koniec stalinizmu związany z zaprowadzeniem gomułkowskiego narodowego komunizmu przekonał wielu Polaków związanych kulturowo z żydowskością, że jednak w PRLu nie da się żyć tak jakby tego chcieli. Chętnie przystano na ich wyjazd z kraju. PRL miał być Polską „narodową”, a nie „narodowościową. To „prawdziwi Polacy” mieli zostać jej obywatelami, a nie obywatele Polakami.

Na początku lat 60. w Polsce pozostało około 30-40 tysięcy Żydów. Po roku 1968 dwadzieścia tysięcy Żydów zmuszono do wyjazdu z Polski; tym samym zakończył się okres istnienia społeczności żydowskiej w tym kraju. Około 10 tysięcy pozostałych Żydów żyje w rozproszeniu w związkach małżeńskich i rodzinnych z nie-Żydami, i w większości przypadków nie kultywują żydowskich zwyczajów, świąt i religii, a tym bardziej języka – jidysz. Bo nie mogli, bali się, a teraz zapomnieli, bo łatwiej ubrać choinkę niż zapalić świece w menorze.

W dwóch pierwszych dekadach postkomunistycznej Polski życie społeczności żydowskiej, głównie wspomagane z zagranicy poczęło odżywać. Otwarto parę wcześniej zapomnianych i zaniedbanych synagog, powstało kilka szkół żydowskich, zaczęto wydawać periodyki i książki żydowskie. Adam Michnik – nie ukrywający, ale niezbyt często wspominający żydowski wymiar swojego pochodzenia – został redaktorem naczelnym najbardziej wpływowego dziennika o zasięgu ogólnokrajowym, *Gazety Wyborczej*, a polska dyplomacja wspomagała emigrację setek tysięcy Żydów z krajów postsowieckich na Zachód i do Izraela. Osoby pochodzenia żydowskiego objęły ważne stanowiska w państwie, na przykład, Bronisław Geremek został Ministrem Spraw Zagranicznych, a po nim Adam Daniel Rotfeld i Stefan Meller, a tekę wicepremiera dzierżyli Marek Borowski oraz Ludwik Dorn.

I aż tyle, czy zaledwie tylko tyle?

Największe skupiska Żydów w chwili obecnej znajdują się w USA (6,5 milionów), Izraelu (6 milionów), Francji (pół miliona), Kanadzie (375 tysięcy), Wielkiej Brytanii (300 tysięcy), Rosji (200 tysięcy), Argentynie (180 tysięcy), czy Niemczech (120 tysięcy). Właśnie, skąd tylu Żydów w Niemczech? Wydawałoby się, że po Holocauście żaden Żyd nie chciałby się osiedlić w tym kraju. Jednak jakość demokracji zachodniemieckiej była taka, że nawet po wojnie zamieszkiwało tam około 30 do 40 tysięcy Żydów, czyli mniej więcej tyle ile w Polsce przed antysemickimi wygnaniami z roku 1968.

W ciągu ostatnich dwóch dekad liczba Żydów w zjednoczonych Niemczech wzrosła sześciokrotnie, głównie dzięki napływowi Żydów z krajów postsowieckich. Ten rząd wielkości nie dziwi jak się pamięta o tym że w samym tylko pamiętnym roku 1989, umęczeni dekadą kryzysu gospodarczego i brakiem wolności obywatelskich, aż ćwierć miliona obywateli polskich wyjechało do RFN (gros z nich to byli Ślązacy i Niemcy górnośląscy).

Lecz czy obecnie nie wartałoby poddać jakości polskiej demokracji i gospodarki testowi? Taki test należałoby przeprowadzić zgodnie z konstytucyjnym wezwaniem, aby współczesna Polska nawiązywała do najlepszych tradycji Pierwszej i Drugiej Rzeczypospolitej, czyli wielokulturowej, wielojęzycznej i wielokonfesyjnej Rzeczypospolitej Królestwa Polskiego i Wielkiego Księstwa Polskiego oraz podobnie różnorodnej Polski międzywojennej. Co pewne „najlepsze tradycje” nie oznaczają tu pełnej jednorodności etnicznojęzycznej i religijnej – „osiągnięcia” wypracowanego w ramach demokracji centralistycznej PRLu (tej „Polski”, co nie załapała się do ciągłej numeracji pomiędzy II RP a obecną III RP), ale otwartość na świat i różnorodność, z których można czerpać na rzecz wzbogacania Polski.

Zda się, że te słowa konstytucji to proste wezwanie do ustanowienia polityki imigracyjnej, której tak boleśnie Polsce

brakuje. Zwłaszcza po wyjeździe prawie 3 milionów obywateli do starych krajów UE po roku 2004. Już od dwudziestu z górą lat przyjeżdżają do Polski za pracą sezonową i na handel setki tysięcy obywateli Ukrainy i Białorusi, czyli z terenów dawnej Rzplitej, tej konstytucyjnej „Pierwszej Rzeczypospolitej”, jednak do dziś nie Sejm nie ustanowił prostej procedury legalizacji ich pobytu i naturalizacji. Tak jakby Roman Dmowski był obecny wśród parlamentarzystów i w rządzie z silnym prawem weta: „jednorodności i jednonarodowości [etnicznej] Ojczyzny nie naruszaj!”

Podobnie, w polityce imigracyjnej, której wciąż nie ma, Polskę należałoby szeroko otworzyć zwłaszcza na Żydów obywateli polskich oraz ich zstępnych, a także na innych Żydów chcących osiąść w tym kraju. Przecież *Polin* po hebrajsku to „Polska”, a zarazem fraza oznaczająca „tu [masz] zamieszkać” lub „znaleźć miejsce odpoczynku”, czyli spokojną przystań życiową. W dużej mierze ten pozytywny stereotyp odpowiadał rzeczywistości w Królestwie Polski i Wielkim Księstwie Litewskim od wieku XII po XVIII stulecie, i nawet później, w okresie zaborów. Dlatego jeden z najważniejszych periodyków anglojęzycznych o Żydach Europy Środkowej i Wschodniej nosi *Polin* w swym tytule. Gdyby tu znowu mogli przystanąć i zamieszkać, być u siebie, stałoby się to z korzyścią dla przyszłości Polski, jak i w zgodzie z jej przeszłością. I tym sposobem ta obecna – najbardziej niepolska ze wszystkich Polsk (za małym, acz ważnym wyjątkiem PRLu po roku 1956, której III RP niechętnym spadkobiercą) – w porównaniu z Polskami znanymi z historii – stałaby się na powrót Polską, taką jaką być powinna. Tak samo dla „prawdziwych Polaków”, jak i Żydów, Wietnamczyków, czy Ślązaków.

Chciałoby się doczekać takiego dnia, kiedy udana transplantacja modernizacyjna na polu rozwiązań imigracyjnych zakończyłaby tę epokę bólów fantomowych w najnowszych dziejach Polski. I te długie – zbyt długie – stulecie dmowszczyzny, co tak odpolszczyła Polskę, w zgodzie z dwudziestowiecznym paradygmatem ludobójstwa i czystek etnicznych, a w niezgodzie z historycznie

pojętą polskością. Ostatni spis ludności z roku 2011 podaje, że w Polsce mieszka 8 tysięcy Żydów. Tyle samo co w Austrii, tyle że z populacją 8,4 mln mieszkańców, ludnościowo ten kraj jest cztery i półkrotnie mniejszy od Polski. Żeby udział Żydów w Polsce był taki jak w Austrii, musiałyby być ich w Polsce co najmniej 40 tysięcy, co i tak daje nikły ułamek ułamka (0.12%).

Mała to ulga na polu zapobieżenia bólowi fantomowym gnębiących Polaków, boć wymiar tego cierpienia w czysto statystyczno-arytmetycznym szacunku stukrotnie większy: w międzywojennej II RP obywatele żydowskiego pochodzenia stanowili ponad jedną dziesiątą wszystkich mieszkańców kraju. Polacy w Wielkiej Brytanii, nim pojawiły się tam na każdym rogu polskie sklepy, szukali wprawdzie ogórków kwaszonych, prawdziwego chleba, pikli, czy prawie prawnie zakazanego maku na wypieki – starych, dobrych, znajomych smaków – w sklepach żydowskich. Warszawskie Nalewki i krakowski Kazimierz przeniosły się do na północ i wschód Londynu. W niewielkim podlondyńskim Stamford Hill zamieszkuje tylu Chasydów, co Żydów w całej współczesnej Polsce. Można tam ujrzeć, jak zwyczajne polskie życie wyglądało przed Holocaustem w Pińsku czy Nowogródku, bo Chasydzi stanowią ponad 15% mieszkańców powyższej wspomnianego miasteczka.

Może kiedyś – oby jak najszybciej – powrócą do Polski-Polinu, własnej od lat tysiąca ojczyzny. Oby chętniej i szybciej byli witani w Polszcze niż w Niemczech lub Austrii naznaczonych czarną smugą historii – krajów skąd pomysłodawcy i wykonawcy Holocaustu. Młodzi nie mogą teraz znaleźć pracy w Izraelu, a płace są tak niskie, że nie dają nawet znakomicie wykształconym szans na wynajem godnego lokum, nie mówiąc już o zakupie mieszkania na własność. A Polin wyszedł obronna ręką z ostatniego kryzysu, który prawie powalił Unie i strefę Euro. Kiedy będzie lepszy czas, aby zaprosić Żydów do powrotu do ojczyzny, do Polski?

14 stycznia 2014 roku
Cill Rìmhinn / Saunt Aundraes / St Andrews